



Zbigniew Matysiak

I część z III

Sygnatura notacji: N0761

Data urodzenia: 26.03.1926 r.

Data nagrania: 07.02.2014 r.

Miejsce nagrania: dom świadka, Lublin, Polska

Prowadząca/y rozmowę: Maciej Żuczkowski, Tomasz Sudol

Czas nagrania: Część I: 83 min, część II: 54 min, część III: 72 min

Format nagrania: video

Język nagrania: polski



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Zbigniew Matysiak: Nazywam się Zbigniew Matysiak. Urodziłem się w Lublinie 26 marca 1926 roku. Oczywiście 1926 roku. Urodziłem się w rodzinie i pochodzę w ogóle z rodziny wojskowej. Trzech wujków i ojciec mój byli wojskowymi. Z tym że ojciec z Legionów przeszedł do służb policji i służył w policji. Urodziłem się w Lublinie, a w pierwszym roku życia został ojciec przeniesiony do służb na Wołyniu. Mieszkaliśmy w Krzemieńcu, w Wiśniowcu, w wielu, wielu miejscowościach na takiej dalekiej polskiej Ukrainie, do 1935 roku. W 1935 roku ojciec został awansowany do policji kryminalnej i dostał nakaz pracy w Warszawie. A że całą rodzinę posiadaliśmy w Lublinie, a w Warszawie nie mieliśmy mieszkania, został ojciec, służąc w Warszawie, organizował mieszkanie i zamieszkanie dla nas, a myśmy się zatrzymali w Lublinie i mieszkaliśmy w Lublinie do czasu, jak w 1938 roku mieliśmy się przenieść do Warszawy, jak już się zrobiła atmosfera w środowiskach ojca i w wojskowych, wszystkich, już bardzo taka mocno napięta, szykowała się wojna. Tak że my z tych kręgów wojskowych już wcześniej wiedzieliśmy, że coś nie jest tak normalnie. No i w 1939 roku ojca ostatni raz żywego widziałem na dworcu kolejowym, gdzie szły duże, wielkie transporty Wojska Polskiego i policji na wschód, ustępując przed Niemcami, bo to się działo już we wrześniu 1939 roku. I słowa ojca takie znamienne: „Zbyszek, zostałeś jedyny chłop w całej naszej wielkiej rodzinie. Pilnuj wszystkich”. I to były słowa mojego ojca, i już go w życiu nie widziałem. Zginął na Kołymie, tak jak większość policjantów zginęło na Kołymie. Wojsko ginęło, i inteligencja, w Katyniu. I tak moje całe przedstawienie wyglądało.

Maciej Żuczkowski: A jak pan zapamiętał jako małe dziecko ten pobyt na Wołyniu, w Krzemieńcu, w Wiśniowcu?

Zbigniew Matysiak: W Wiśniowcu, w Horynce, w Szubsku, to są miejscowości, w których żeśmy... Ojciec był przenoszony, bo był dość takim energicznym i organizowanym po. Jak zapamiętałem, mieszkaliśmy w przeważnie

niewielkich włościach, na przykład w Wiśniowcu mieszkaliśmy w pałacu słynnych Wiśniowieckich i tam mieszkała polska tylko rodzina ogrodników. Była wspaniała dziewczuszcza w moim wieku, Stasia. Razem ześmy się bawili, wtedy miałem około sześciu lat, siedmiu. Bardzo były... części społeczeństwa ukraińskiego bardzo nam przychylne. Bardzo wspaniałe stosunki. Bo przecież myśmy mieszkali, byliśmy uzależnieni, w takiej Horynce, to była najdalej wysunięta wioska, gdzie dookoła tylko byli sami Ukraińcy, ojciec i trzech policjantów. No niedaleko stało pól kawalerii, w Białokrynicy. Taka miejscowość. Tak że nie byliśmy tacy tylko wystani do gniazda os, prawda, tylko była... Ale wielu ludzi było... wiem, że wspaniałe... No bo na jakimś poziomie myśmy posiadali, więc na różne uroczystości, w tej chwili nie pamiętam, na jakie, ale dość często, odwiedzaliśmy popa.

Maciej Żuczowski: Czyli w trakcie jakichś uroczystości kościelnych, tak?

Zbigniew Matysiak: Takie kościelne uroczystości. Czy towarzyskie. Bo tam u popa był fortepian, u popa moja mama ładnie śpiewała. Więc tak ześmy się spotykali, rozchodzili. Później miałem... w Wiśniowcu bodajże to było, albo w Szumsku, przy młynie mieliśmy sukę taką, Aza się nazywała, wilczura, i ja biegałem, miałem wtedy na pewno już sześć lat, przed końcem. I przy tym młynie dużo było furmanek. Przyjechali na przemiał zboża do młyna. I ja na tym młynie leciałem, i tam mnie któryś ze śmiechem na ustach pyta, bo latałem, taki chłopaczek malutki... on mi zadał pytanie: „Kto ty jesteś?”, w takim żargonie polsko-ukraińskim. Właściwie to nie ukraiński język był, tylko taki obraźliwie nazywany, bo tak tamtych Ukraińców z tych terenów nie nazywali Ukraińcami, tylko Chachłami. Bo to był taki zlepek rosyjsko mówiących narodów wysyłanych przez carat na ogromne stepy tej zachodniej Ukrainy. To tam za karę byli zsyłani, oni tam zakładali ogromne te swoje siedliska, wsie. Ale nazywali ich tak, bo język się przecież różni, bardzo się różnił, od rosyjskiego, od ukraińskiego, język chachłacki to jest taki bardzo dziwny, twarde język. No i ten się spytał: „Kto ty jesteś?”. Ja od dziecka byłem... Byliśmy na tych Kresach z babcią. Babcia pojechała, mama mojej mamy, żeby... No jak, Zosia sama pojedzie w dziczyznę? To pojechała z nami babcia. A babcia była bardzo patriotyczną, była wdową po więźniu z 1905 roku, dziadku, który był socjalistą, tylko nie mylić z socjalistą L, bo byli socjaliści P. I on siedział w Lublinie na zamku, po wyjściu z zamku umarł niedługo i babcia została całe życie wdową. Wiele babci zawdzięczam. Pierwsze: dyscypliny, wychowania w duchu wojskowym i patriotycznym. Taką miałem babcię dziwną. Później powiem, na czym polegała ta dziwność mojej babci. I ja na tym moście powiedziałem: „Polak mały”. „Jaki znak twój?” - „Orzeł biały”. Bo mnie babcia tej pierwszej takiej modlitwy nauczyła. I wtedy jeden z tych chłopów, którzy przyjechali ze zbożem, to do dzisiaj to widzę, czuję, jak mnie kolaniem tutaj w plecy, bo pupę miałem znacznie niżej, bo byłem nieduży chłopaczek, kolaniem mnie pchnął, kopnął, kopnął mnie kolaniem, tylko przy pomocy kolana, ja z tego mostu wpadłem... Zawsze każdy wodny młyn to przed swoją śluzą i kołami miał zawsze ogromny zbiornik, taki wielki staw, zapas wody, żeby mógł pracować, prawda. Bo rzeczka nieduża była, pamiętam, jak dziś, nazywała się Horynka. I mnie rzucił w tę wodę. Ci chłopci krzyknęli, wrzasnęli i na pewno bym się utopił, bo ta woda jednak pomału spływała do śluz i do tego... I Aza skoczyła za mną, ta wilczura, i wyciągnęła. No wiem, że tam były różne tam nawet jakieś później sprawy, coś, wtrącali się, i pop, żeby... ten chłop, a że głupi, że durny, że... O Boże. Tak że to taką przygodę swoją pamiętam. A inne przygody to były... Szumsk to było duże... to takie średnio duże miasteczko. I taki było, no i w 1944 na 1945 rok... Wiem, że jak w sam raz, a w tej chwili nie mogę odpowiedzieć, ale umarł „Dziadek”, Piłsudski. To myśmy już byli w Lublinie, mieszkaliśmy. No i później tak to moje życie szło, ojciec w Warszawie pracował, przyjeżdżał na niedzielę do domu, wujek Józiek to był wujek, który pracował przed wojną

w „dwójce”, a był wielkim... Dziecka nie mieli z ciotką, to znaczy z siostrą mojej mamy. Nie mieli, bo dziecko umarło w czasie porodu i nie mogła więcej mieć dzieci, więc ja byłem takim jego ukochanym chłopaczkiem i miałem wtedy lat już... Już przechodzę, jak miałem lat osiem-dziewięć. I on był działaczem w klubie sportowym wojskowym. W klubie wojskowym sportowym był działaczem. I zna wszystkie mecze, na wszystkie, te... No on jako działacz to mnie ze sobą zabierał i tu poznałem całą plejadę wielkich na ówczesne czasy, to jest 1938 rok, 1937, 1938, 1939 rok, sportowców lubelskich, bokserów, piłkarzy, wspaniałych chłopaków, którzy, gdy nastąpiła okupacja i Lublin zajęty, przeważnie, w 90%, ci wszyscy sportowcy i działacze znaleźli się w podziemiu. Ja przypadkowo, przeżywając wielką biedę, naprawdę wielką biedę... Nie mieliśmy z czego żyć. Trzy baby, trzy siostry moje... to znaczy dwie siostry mojej mamy, wszystkie były bez mężów, bo wszystkich mężowie znaleźli się w Rosji. Wujek Józiek, ten, o którym powiedziałem, co był działaczem, uciekł z transportu pod Częstochową i nie wrócił do Lublina, bo się bał, że go Niemcy namacają, zresztą służąc w takich formacjach. Więc działał w... Pochodził ze wsi, działał w organizacji BCh-owskiej... Tylko nie wiem, czy panowie wiecie, na stu BCh-owców osiemdziesięciu to byli akowscy BCh-owcy, a dwudziestu było... lewicowi BCh-owcy. Taki był podział...

Tomasz Sudół: - Takie proporcje, tak?

Zbigniew Matysiak: - cyfrowy. No i wujek tylko dawał znaki, że jest, że żyje, że wszystko działa, jako oficer miał tam odpowiednie jakieś zajęcie, nawet nie wiem, kim. Drugi wujek, będąc w Rosji, dostał się w tych pierwszych poborach [] do Andersa i z Andersem przeszedł na wschód, z armią Andersa, do Afryki i znalazł się pod Monte Cassino i w Anglii, i wszędzie. To był drugi wujek. Ojciec zginął. Trzeci był w BCh. Jak przyszło wyzwolenie, nie będę opow... Aha, nie no, warto by było powiedzieć. Jak się dostałem? W wielkiej biedzie, w potwornej nędzy. Chodziłem po ulicy, bo to moda była między chłopcami takimi jak ja, mieliśmy wtedy po lat czternaście, trzynaście-czternaście. Kijki z gwoździkiem, chodziliśmy po ulicach, zbieraliśmy pety po wielkich ludziach, Niemcach. Moda była, że Niemiec w połowie palenia spalonego papierosa rzucał papieros na ulicę. Więc myśmy zbierali te pety niedopalone, w domu ucinaliśmy tę taką dużą część spalonego papierosa, resztę wyłamywaliśmy w taką miskę, miałem zrobioną, no i od znajomych chłopów, u których, u państwa Doboszów, pod Niemcami, lubelskimi Niemcami, miejscowość, spędzaliśmy wakacje, no to tam od niego chodziliśmy po jakieś zastrzyki: trochę jakiegoś masła, trochę śmietany, jak jakaś świnka była, nielegalnie zabita, to kawałek słoniny, w czasie tej okupacji, no to od niego dostawałem tytoń Virginia, taki polski, bardzo szlachetny, złoty tytoń, cieniutko na desce kroilem to, robiłem z tego tytoń i te pety z niemieckich, wysokogatunkowych papierosów razem mieszałem, panowie na pewno nie widzieliście takich urządzeń, w handlu w sprzedaży były tutki puste albo bibułki papierosowe, a te tutki to taka była maszyneczka, tam się tytoń układało, upychało, zamykało w gotową tutkę taką papierosową z ustnikiem, krótki ustnik, tyle tego do palenia napychało się, robiło się w gazecie dziesięć sztuk papierosów i na ulicy pod kinami, pod knajpami, bo działały wszystkie, sprzedawaliśmy to ludziom. W ten sposób zarabiałem pieniądze dla domu na kawałek jakiegoś jedzenia. Czasami na wieś. I tak, w takiej jakiejś nędzy wielkiej, szedłem ulicą Narutowicza właśnie do tej ciotki, której mąż był u Andersa, bo przyszły nielegalnymi drogami, że jest właśnie w Anglii w wojsku. Nie, pierwszy jak przyszedł list, to z Włoch przyszedł, jeszcze Monte Cassino nie było, bo brał udział w Monte Cassino, że żyje. No to już się ciotka ucieszyła, bo była córeczka maleńka, Alinka, moja siostra cioteczna. I tak, idąc ulicą Narutowicza do ciotki, spotkałem Stasia Zalewskiego, bardzo słynną postać. No nie ma też między panami takiego, który pamięta, że był taki i trener, i masażysta, za czasów Sztama,

słynnego polskiego boksu, był wspaniałym bardzo... przed wojną był słynnym bokserem w wadze piórkowej, a później został masażystą. I był masażystą, a pracował jako masażysta w niemieckim szpitalu na Czwartku. Jak przychodzili z frontu żołnierze do odnowy... Więc rozumiecie, żeby żołnierza prędko doprowadzać do ładu, to potrzebny mu specjalistyczny masaż. I Stasio tam pracował, Zalewski się nazywał. Mieszkał na dolnej Panny Marii i spotkało... „O, Zbysiu, co ty tu robisz? Gdzie idziesz?”. Ja mówię: „Do cioci idę.” - „A w ogóle co, że”... No ja mu mówię, że jaka bieda, z czego żyję. A on mówi: „Wiesz co, ty jesteś taki fajny chłopak. Przyjdź do mnie do domu, mieszkam na dolnej Panny Marii tylko z mamą”... Był jedynakiem, ojciec, żołnierz, legionista, zginął w 1920 roku, mama była jego taka jakaś półkaleka i on takie maleńkie mieszkanie na facjatce, i tam założył... to był rok 1942, założył nielegalną szkołkę bokserską. Nielegalną, kara śmierci za Niemców uprawianie sportu była. Jeszcze boksu... No i tam żeśmy chodzili. No i jeszcze: „Masz kolegów?” - „Mam”. A myśmy mieli taką swoją przedwojenną paczkę, w której takim wodzem naszym był - to też jest opowiadka, później wytłumaczę, dlaczego to mówię - był Józio Zielniak, ojciec: dozorca. I tam była nas taka kupa chłopaków, i on był wodzem, bo on był rocznik 1922, a myśmy byli... Ja byłem między nimi, byłem 1926, Zbyszek Łysak 1926, syn kuratora lubelskiego, Zbyszek Smutek... Trzech Zbyszków nas było. Zbyszek Smutek, syn adwokata... I to byliśmy panowie. Panowie. A teraz tak, on, Zielniak, syn dozorca, Heniek Niewiadomski, później wystąpi tu w moim opowiadaniu, syn szewca, drugi, „Marynarz” pseudonim, bo całe życie chciał być marynarzem i piratem, Henio Kuź... Mówię tak śmiało wszyscy, bo już nikt nie żyje. Syn dozorca. Na końcu ulicy Cichej, bośmy z tej ulicy Cichej pochodzili wszyscy, mieszkał taki nieduży, maleńki „Pecus”. Przeżywaliliśmy, nie wiem, dlaczego, „Pecus” się nazywał. „Pecus”, syn blacharza. Taki, który chodził z wiaderkiem, garnki lutował po podwórkach. I tych wszystkich chłopaków... A, jeszcze Koziński był, Tadzio, którego ojciec całe życie jakimś takim handlarzem był, coś po jarmarkach, po tym jeździł, ale to był taki... dość zamożni ludzie. No to tak, nas trzech panów, tych trzech jakoś tak... A, jeszcze syn ogrodnika był, „Kalim” się nazywał, z jakichś arabskich filmów pseudonim miał „Kalim”, na ulicy 3 Maja mieszkał, a my tu wszyscy przy Cichej. Nie wiecie, bo panowie nie jesteście z Lublina. To jest taka krótka uliczka. Później zaślęnęła z tego, że tam UB było, słynne, wielkie. I taką stworzyliśmy grupę. I ja tę grupę tych chłopaków ściągnąłem do Zalewskiego, i w tej grupie zostało nas tylko... Tej reszcie nie odpowiadało, został tylko Oldek Kosowski, to jest syn lekarza, zostałem ja i został Tadzio Koziński. A, i został jeszcze „Abisyńczyk”, ja mu dałem takie przezwisko, „Abisyńczyk”, bo on taką urodę miał. Ojciec był w czasie okupacji policjantem, granatowym policjantem, ale dla nas, dla chłopaków z tej grupy, którą wymieniłem, mieszkał róg ulicy Staszycy a Rusalkowskiej, w tej kamienicy dużej, na pierwszym piętrze i wieczór żeśmy się schodzili, lekcje odrabialiśmy, bo wszyscy już byliśmy uczniami Szkoły Mechanicznej na Czwartku. Odrabialiśmy lekcje, bo on miał duże mieszkanie, a tatuś wieczorem nas uczył obsługiwać się... Sam miał służbowego „nagana”, sam miał służbowy przedwojenny karabin, Mauser, w mieszkaniu, i nielegalnie jeszcze przynosił VIS-a, i on nas uczył się obsługiwać z tą bronią wieczorami, a był granatowym policjantem.

Maciej Żuczkowski: Jak się nazywał?

Zbigniew Matysiak: Zdzisio Szewczyk.

Tomasz Sudol: Miał jakiś kontakt z podziemiem czy tak robił to spontanicznie, że tak powiem?

Zbigniew Matysiak: Ja nie wiem, bośmy byli wtedy dzieciaki i jeszcze nie byliśmy w podziemiu. Dopiero u Stasia

Zalewskiego, na szkółce bokserskiej. Ja opowiadam stopniowo, jak się mój rozwój podziemny ciągnął. I, proszę pana, będąc tymi bokserami, wysyłał nas Stasio na ulice, podstawowy w tamtych czasach to był bieg, więc lataliśmy po tych łąkach tu, nad Bystrzycą, bo to było jesienią, ciemno, wcześniej, nie wszyscy razem, bo jakby Niemcy zobaczyli, już siedzimy, już podpadamy. A pojedynczo to lecę. Lecę do apteki, lecę do domu, bo godzina policyjna. Rozumiecie, o co chodziło. Mądrze to organizowane. I po pewnym okresie czasu on gadkę ze mną, bo mnie takiego Stasio Zalewski uważał... takiego wiodącego w tej grupie. Zresztą ja byłem taki najmocniejszy, najsilniejszy... Jeszcze Oldek Kosowski był taki sam duży, ten, o którym mówiłem, syn lekarza. I, proszę panów, któregoś dnia mówi: „Wiesz co, - mówi do mnie - Zbyszek, polecisz do piekarni z ulicy Dybyckiego i zanieziesz kartkę”. Ja mówię: „Dobrze, panie Stasiu”. Bo per „panie Stasiu” żeśmy ze sobą mieli kontakt. „Dobrze, panie Stasiu”. I tę kartkę wziąłem, jutro się zgłoszę, to żeby mi dał chleba i jakąś tam bułkę, bo bułki to były takie... Nawet w tej chwili, zabijcie mnie, nie wiem, czy bułki były tylko dla Niemców, folksdojczów i innych, czy bułki były w jakiejś strasznie ograniczonej ilości. Ale jakąś bułkę. I to, panowie, nie był żaden szyfr, żadne nic, to było autentyczne sprawdzenie mnie, czy ja to zaniósłem, czy ja to zrobię, czy ja się na tym sprawdzę. I po kilku takich różnych mnie zadanych zadaniach się sprawdził i on mi powiedział: „To słuchaj, pójdziemy tam któregoś dnia, tam mam taki interes, będziesz miał”. I tam ja się zjawiłem, i tam spotkałem tych wielkich sportowców. Taki był Zenek Paprota, wspaniały piłkarz i później bokser, był Gajewski Stasio, był Zieliński, bokser w wadze średniej, był „Jurand”, Roman Sochal, wspaniały piłkarz i hokeista przedwojenny, i był Andrzej Tęcza. I tylko ja mówię teraz nazwiska. I ci ludzie, siedzi tam cała kupa w tej piekarni, piekarnia idzie, piekarnia się mieściła w tej chwili tu, gdzie główna komenda na ulicy Narutowicza, tylko komendy nie było, nawet budynku, tylko tam było boisko sportowe, a naprzeciwko była piekarnia, która się okazała wielkim takim miejscem sztabowym, tam się schodzili... Oni wszyscy już byli mocno zaawansowani w podziemiu. I tam żeśmy wtedy zostali przydzielani na różne takie szkolenia, i bardzo błahe, absolutnie nic niemające z podziemiem do czynienia. I po pewnym czasie, jak się daje, jak spotkamy Niemca pijanego, że leży, jak nie ma... to go musimy okraść. Co on ma wojskowego. Więc bagnet, amunicja, trafi się pistolet... Drugie, Niemcy modę mieli, podjeżdżali pod knajpy, na przykład tu, gdzie teraz w Lublinie Peowiaków ulica bodajże, była wielka knajpa „nur für Deutsche”, przychodzili, samochody stawały, Niemcy: moda, elegancja, Francja. Pas ze spluwą zapinał, wieształ w szoferce na lusterku, przeważnie w ciężarówkach Opel Blitz albo osobowych, i do knajpy wchodzili bez broni. I my, już jak byśmy tacy już rozwinięci, to myśmy ten samochód: jeden otwierał, uchylał, że drzwiczki się otwierają, i prędko, tak... Pod siedzeniem w samochodach ciężarowych, w Oplu Blitzu... siedzenie nie było do samej ziemi, tylko na takich nóżkach stało. I pod tym przeważnie była skrzynka, i w skrzynce były granaty. Niemieckie, od razu ładowane granaty. Tylko nie tłuczki niemieckie, tylko mieli niektóre włoskie, francuskie granaty, węgierskie granaty, czeskie granaty. Albo siekane, albo blaszane, to znaczy czy bojowe, czy zaczepne. I jak to było, to my ciach-ciach, boso lataliśmy, godzina była już taka późna, kiedy się robił zmrok, i z tym uciekaliśmy na meliny, króciutko, gdzieś tam, gdzie bramy były nasze. Kto inny zupełnie, albo dziewczęta, albo chłopcy, brali to, mieli jakąś torbę czy worek, wiecie, no bo to była dziadowszczyzna, kartofle, nie kartofle, węgiel żeśmy zbierali, jak jechała ciężarówka z węglem po ulicy, gubiła, to się zbierało. Mówię, byliśmy wtedy ci piętnastolatki. I tak minęły mi, panowie, 1942 do 1943 roku. I w 1943 roku, w tym czasie, kiedyśmy to robili, kradli te rzeczy różne, przyniemieckie... A, jeszcze mieliśmy przewspaniałego chłopaka, o rok ode mnie młodszy, nazywał się Leszek Gieroba, mieszkał o tu, niedaleko, na Nowym Świecie. Piegowaty, rudy, niedużutki a śliczną siostrę miał, tylko starsza ona była. Panna, ona miała z osiemnaście lat, a on miał piętnaście-szesnaście. Taki paskudny wyptłoz, panie, że wróble nim straszyć można było. Nie było, chodził po ulicach i pilnował Niemców, którzy dawali w rurę i z polskimi dziewczynami

po krzakach się puszczali, rozumiecie, te dziewczuchy. Nie było wyprawy, żeby Leszek wrócił i spluwy nie przyniósł ze sobą. On jeden więcej tych spluw naprzynosił od tych Niemców... Mówi: „Taki był zajęty, że nie wiedział, że ja mu spluwę wziętem”. Wyjęty, bo spluwa ciężka, te parabellowskie, jak znacie, parabellowska kabura to jest waliza. I tak nam zesza młodość, i tak byliśmy, taki przeszliśmy rozdział. Byliśmy uczniami, obserwatorami, a nie sprawdził się jako uczeń, curik. Nie sprawdził się jako obserwator, curik. Dochodziliśmy do stopnia czeladnika. Czeladnik to już były poważne zadania. To ja jako czeladnik tym rowerem jeździłem do Zęborzyc, do wszystkiego. Sprawdziłem się za stołem, dostawałem stopień majstra i miałem prawo składać przysięgę. I ja w 1943 roku w październiku na ręce porucznika „Juranda”, Roman Sochal, złożyłem przysięgę w październiku 1943 roku.

Tomasz Sudół: A pamięta pan okoliczności, w jakich to było?

Zbigniew Matysiak: W piekarni Zdybickiego, było nas trzech. Składaliśmy przysięgę. W tej chwili nie powtórzę panu całej przysięgi, była dość duża. Bezwzględnie trzeba było ją umieć. Składaliśmy we trzech przysięgę.

Maciej Żuczkowski: Ale to się działo po pracy w piekarni czy w trakcie, powiedzmy, jak...

Zbigniew Matysiak: Piekarnia pracowała. Normalnie szła piekarnia, tylko była pakamerka, pokoik, gdzie się zbierali. Taka kamera była polityczna, jak to dzisiaj nazwę ten gabinet. Pan piekarz, pan Zdybicki, we wszystko to wwirowany. Ogromny magazyn broni ciężkiej był na podwórku, w stosach drewna przygotowanego do opału piekarni. Rozumiecie. Tylko że tych stosów nie ruszali, ale karabiny w środku były. Karabiny, MP, inne rzeczy. Skrzynki z granatami. Były schowane, proszę pana. I to, jak doszedłem, złożyłem przysięgę i dostałem się wtedy pod opiekę do chorążego Kedywu niektórzy go nazywali już porucznik, ale oni nie mieli stopnia porucznika, byli chorążymi. To znaczy podchorąży, bo po tych podchorążówkach podziemnych skończonych, bo to jeszcze nie byli przedwojenni... Bo to był rocznik 1922, tak jak słynne te kolumbowe roczniki. Od 1920 do 1923 roku to był ten rocznik Kolumbów, najbardziej niebezpieczny, z którego się całe podziemie... I każdy z nich dostawał jednego takiego śmigusa, jak nas... Bo on na mnie zawsze mówił „ty, śmigus”. I dostawał takiego śmigusa podręcznego do swojego użytku. Co chciał, to ze mną robił, co chciał, to mnie wysyłał. Ja mu załatwiałem, ja mu na przykład adresy sprawdzałem, ja sprawdzałem, kogoś szpiegowałem, którądy chodzi, gdzie chodzi, po co chodzi, z kim chodzi. No i właśnie z nim brałem udział w wykonaniu dwóch wyroków śmierci. Jeden na kelnerce na ulicy Narutowicza 13, było to, proszę panów, bodajże w pierwszych dniach grudnia 1943 roku, na ulicy Narutowicza pod numerem 13. Taka żona oficera polskiego zawodowego miała kawiarnię. A tam Niemców dużo, blisko teatr, tam mnóstwo było tych, tych... i była młoda dziewczyna, bodajże osiemnaście-dziewiętnaście lat, która kochanka miała gestapowca. No ale to była kawiarnia ogólnodostępna, i to za okupacji jak i z filmów, i ze wszystkich chodzili Polacy kawy się napić, wiecie, takiej półpodrabianej. Kawy się napić, pogadać, poplotkować. Ona... kogoś była firma, „Ucho”, podsłuchiwała i tych... Tak, że, proszę pana, dostała czapę z sądu podziemnego. Z tym że, panowie, to nie była czapa, bo pan mi się nie podoba, bo pan ma tę koszulkę, to ja pana idę i zastrzelę. Proszę pana, minimum trzy miesiące trwała inwigilacja danego człowieka skazanego na czapę, na wykonanie wyroku. Bezwzględnie, to nie to, że ze złości, bo za dziewczynę czy w karty przegrał ze mną pieniądze, czy w ogóle go nie lubię. „No to panowie, to tego to trzeba zlikwidować, bo mi się nie podoba”. Nie. To naprawdę była trudna sprawa. I dopiero jak ktoś dostawał karę śmierci, to byli tacy spece od wykonywania kar

śmierci. Autentycznie ludzie... To nie to, że to byli zbrodniarze, że autentycznie psychopaci. Nie. Ludzie, którzy uważali, że oni robią jedną z najwspanialszych prac, likwidując najgorszą rzecz, jaką ktokolwiek może być, to jest konfident, to jest sprzedawca. I taka dziewczyna. No i wyszło. I moja rola przy tym układzie, gdzie ja wspaniale rzucałem granatami, gdzie ja miałem, ukradłem pod niemiecką knajpą skrzynkę przepiękną, żałuję, że nie ma, bo jak mnie aresztowali, mama wszystko wyrzuciła. Była skrzynka włoskich granatów. Piękne, małe jajkowe granaty. Jedne z czerwonym kapslem, drugie z zielonym kapslem. Z czerwonym kapslem to były granaty bojowe, zrobione z cieniusieńkiej blachy, takiej jak puszka na konserwie, tylko koszulka była podwójna, i tam było milion i trzy sztuki szrucin ołowianych, okrągłych. Więc ten granat, jak wybuchł, to tym śrutem się, proszę pana... Tak że nie było jak na przykład rosyjski granat, potrafił pęknąć na pół tylko, dwie skorupy wyleciały. Bo dobre, angielskie, polskie granaty, amerykańskie gammony, to jak się rwał, to się rwał na takie kawałki. A ten śrutem się. A ten z zielonym kapslem, panowie, dawał tak przepotworny huk, że jak trzeba było zlikwidować, o tutaj siedzieliśmy, my, na posterunku, UB-owcy czy... wie pan, i ja chciałem was zlikwidować, to nie wchodziłem ze spluwą, „buch, buch”, a pan zdążył i mnie zabił. Na cholere mi to potrzebne? Uchylałem drzwi i do tej chałupy rzucałem albo amerykańskiego gammona, przepotw... No taki... Nikt nic nie urwane, krew z nosa, krew z uszu, krew z ust i jest nieżywy. Rozumiecie, taka potworna eksplozja. A ten włoski oprócz tego huku, który dawał, jeszcze posiadał w sobie środek silnie łzawiący. Tak że pana ogłuszył, że panu pękły bębenki, ale tu siedział ktoś tak jak pan, gdzie tu upadł granat, to jemu bębenki nie pękły, ale oślepl na ileś... Bo to był łzawiąco-ślepy. Tak że granat działał w dwie strony wspaniale. I ja taką skrzynkę, dwanaście tych, dwanaście tych, zamykała się pięknie, piękny blaszany, do dzisiaj bym go chciał mieć, kuferek, i tam było tych granatów... Ja to ukradłem i w życiu z tej skrzynki go... W domu pod piwnicą, w piwnicy pod kartofle zakopałem i był. I do Romana te granaty... Moja rodzona świętej pamięci mama przywoziła mnie do leśniczówki z koszem, bo jechała po handel, żeby kupić parę jajek, już za komuny, taką miałem matkę. I do mnie do lasu przyjeżdżała, mnie dała granaty, ja mamie załatwiłem dziesięć jaj. I tu jajka, i tu jajka. I tak wyglądała moja rola w miejskiej działalności podziemnej. I tak działała, i działałem, byłem związany z grupą Nałęczowską. Tam działał, już się kończył, rejon „Zapory”, tylko był „Orlik”, i tam działał porucznik Zawisza, który miał kompanię, u którego był „Żuk” i „Dąb”, i Warneńczyk, i ja byłem w tej grupie Warneńczyka, „Warno” żeśmy go popularnie nazywali, proszę pana, i z tym „Ikar”. Bo „Ikar” był z nimi związany od samego początku na tym wszystkim. I do szkoły chodziliśmy, i do lasu chodziliśmy. Całe życie wszyscyśmy chodzili ze spluwami, autentycznie do szkoły na lekcje chodziliśmy z bronią. Mieliśmy nauczycieli, którzy wszystko wiedzieli. Jakich mieliśmy konfidentów? Nazywał się pan profesor Obst, Wiedeńczyk, Austriak, z 1918 roku w Lublinie stacjonował, z Austriakami, kiedy jeszcze był Lublin pod okupacją austriacką, miał narzeczoną z Lublina, Polkę, później wyjechał, skończyło się i za Hitlera przyjechał, i w 1943 roku pracował u nas w szkole, uczył języka niemieckiego. I przychodził, mówił takim bardzo łamanym językiem polskim. Mówi: „Te chłopaki i ta chłopaka, która się tutaj dzisiaj o... tego, to dzisiaj niech do szkoły już nie idzie, niech idzie do szkoły robić lekcje”. Bo zniemacka wiedział, cynki miał, major z tamtej wojny, a w tej chwili miał grubo ponad sześćdziesiąt pięć lat. Dawał cynk, że będą Niemcy, że będą... to, bo potrafili wpaść, co zdolniejszych z ostatnich z licealnych klas, zabrali pięciu chłopaków na roboty czy do jakichś warsztatów, bo to była szkoła mechaniczna. Rozumie pan. Takie cynki nam dawał. I to było do 1943 roku. No i żeśmy ten też 1944 rok też, też do Nałęczowa jeździłem po te różne rzeczy, już takie bardziej... Ale nie byłem w lesie w oddziale w ogóle. Tylko w miejskiej i podlegaliśmy. Wtedy był ten wielki, ogromny zamach, taki... O, jutro będę miał pogrzeb „Siwego”, też się nazywał Zdzisio Szewczyk, tylko był rocznik 1920. Umarł w tamtym tygodniu w Niemczech, bo córka wyszła za mąż. A on pięć lat siedział na Syberii,

wrócił z Sybiru w 1954 roku, już z podziemiem nigdy nic nie miał, ale najdłużej z tych Sybiraków, co siedział na zesłaniu, wiecie, w łagrze. No ale później to był... A ja go znałem, kiedy on dla mnie był bóg, car. Taki partyzant był. Też był taki... Właśnie pseudonim „Siwy”. Zdzisław Szewczyk. I tak zeszło moje życie do czasów wyzwolenia. I przyszło niby to wyzwolenie, myśmy już wiedzieli wcześniej, ogromne transporty. I to nastąpiła ta akcja „Burza”. I to nastąpiła akcja „Burza”, proszę panów. I ja, mieszkający w tym czasie na ulicy Skłodowskiej, proszę panów, już z ulicy Lubartowskiej, bo nas Niemcy wyrzucili z tego ładnego... A to historia to, ja wiem, o takie dwie grube książki, jakby pisać tak, jak książkę się pisze. Tylko ja to przecież omijam te rzeczy. Już na ulicy Skłodowskiej żeśmy z tych Żydów wrócili, a ja dalej już byłem mocno zaangażowany. I tutaj, nie wymieniałem, wystąpił taki... był ten właśnie syn szewca, Henryk Niewiadomski, pseudonim „Pergon”... Zresztą ja takie w ogóle zdolności we wszystkich oddziałach dawałem, ja pseudonimy dawałem chłopakom. „Pergon”, brata mający, małego szczeniaka, który w 1944 roku miał trzynaście lat. Rozumie pan. Ale był taki szpryc, taki był... Taki był... No nie do pokonania był chłopak. I ten Heniek, żeśmy zdobyli rosyjską radiostację, i on miał mieszkanie, bo rodzice jego już nie żyli, zginęli w 1944 roku w maju, w czasie tego wielkiego bombardowania sowieckiego Lublina, przez Sowietów Lublin był... i tam zginęli rodzice, a ojciec siedział w więzieniu, jego ojciec siedział w więzieniu, oskarżony przez jakieś niebyto, bo później został zwolniony, za współpracę z Niemcami. Ojciec „Pergona”, ten szewc główny. A matka zginęła, dwie siostry bardzo... jednej amputowali chyba nogę, a druga coś, płuca postrzelane, że te dwie siostry z tą opieką, jak się Lublin tylko wyzwolił... Bo one w maju były takie poranione, a jak weszli ci w lipcu, to one jeszcze w szpitalu leżały i Szwedzi, ta szwedzka pomoc, i te dwie dziewczynki, bo to były od Heńka młodsze, zostały zabrane i chyba żyją, może już nie żyją, do dzisiejszego dnia. One w Szwecji żyły. Tylko został „Plumpek” i Heniek. I Heniek się krył, bo już mocno w tym podziemiu związany, a ten gnojek, panie, on płakał, on by zrobił największą rolę filmową, jakby trzeba było płakać, tak umiał płakać, a swoje, co trzeba było, to robił, wiedział. Zastrzeliłby pana nie wiadomo kiedy. I proszę pana, na czym to ja skończyłem?

Tomasz Sudół: Mówił pan o „Plumpku”. Ale ja bym jeszcze chciał, żebyśmy się... O „Pergonie” pan mówił generalnie.

Zbigniew Matysiak: No właśnie, generalnie o „Pergonie”.

Tomasz Sudół: Chciałbym, żebyśmy się cofnęli. Bo pan uczestniczył w wyzwoleniu Lublina?

Zbigniew Matysiak: W wyzwoleniu Lublina, w akcji „Burza”. To, proszę pana, było...

Tomasz Sudół: Chciałbym, żeby pan coś o tym powiedział jeszcze.

Zbigniew Matysiak: No więc, proszę pana, należałem do grupy porucznika „Pokera”, taki był porucznik. Nazywaliśmy go porucznikiem, a on był podchorąży z tej Kedywowskiej grupy. Przeważnie to wszystko było podchorążacy z Kedywu. - Wiecie, co to Kedyw jest?

Tomasz Sudół: - Tak. Rozumiemy.

Zbigniew Matysiak: No. Proszę pana, to on był... I pseudonim miał „Poker”, i u niego nas było, grupa „Śródmieście”... Grupa „Śródmieście”, no bo ja na ulicy Skłodowskiej mieszkałem. Grupa „Śródmieście”, proszę pana, to nas tam było w tej grupie bodajże dziesięciu, dwunastu. Mieliśmy na swoim wyposażeniu, zresztą wzięte z Dybickiego... „suka”, nie wiem, czy wiecie, co to „suka”, to jest MG 34. Albo później „tobrukowska suka”, druga, z kwadratową osłoną lufy, to był MG 42. A ta to była MG 34. Zresztą do dzisiejszego dnia Amerykanie wyrabiają taki karabin na ten... Nie do pokonania karabin maszynowy. Jedna chyba jedyna broń na świecie, gdzie zamek chodzi na łożyskach kulkowych. No wspaniała. Sama lufy zmieniała, bo ona nie miała w ogonie nic, tylko wystrzelał pan dwie-trzy taśmy, taśma do niego, typowa taśma, to była 150 sztuk albo były zakładane bębny szturmowe, w których było po 50 sztuk amunicji, tak z wierzchu wsadzone, 50 sztuk. To w tym czasie, kiedy się szło do ataku albo się wycofywało, to żeby się taśma nie majtała, która przeszkadzała. Gdy się ze stanowiska strzelało, no to był amunicyjny, który taśmę podawał. To była mocno-, szybkostrzelna broń, ten MG 34, „suka”, to strzelała 650, a ta „tobrukowska” to strzelała 900. To jest coś potwornego, panowie. Strzelone dwanaście kul to leci w jedno miejsce, to w takiej murowanej niedużej chałupce w ścianie dziurę robi. To dwanaście sztuk. „Żel!” - o, i to już poleciało dwanaście kul w jeden cel. I, proszę pana, z tą grupą żeśmy zaczęli, a w ośrodku „Śródmieście” to był „Soldatenheim”, to był przedwojenny... miejsce, gdzie był klub wojskowy „Unia” i klub oficerski, kasyno oficerskie, nie żołnierskie, bo Dom Żołnierza był, to był dla podoficerów, a tutaj był ten, co Niemcy zrobili... a tu Dom Żołnierza to było kasyno oficerskie, gdzie wielkie bale, nie bale, wszystko się odbywało. I jednocześnie na zapleczu było duże boisko i klub sportowy, budynki, w którym byli piłkarze, bokserzy, no wszystkie diabły, co istnieli w sporcie. I, proszę pana, to Niemcy nazwali „Soldatenheim”, Dom Żołnierza. I oni zrobili, proszę pana, z tego, tak jak w ogóle Lublin w ich... jak żeśmy dostali w sztabie pierwsze meldunki, początki, to był „Große Festung”, wielka fortyfikacja, wielki opór na Lublinie. Myśleli, że na wieprzu. Później to jak zaczęli, zobaczyli, jak idą Ruskie, jaką siłą, to Lublina nie ujęli jako tego „Große Festung”, tylko przenieśli się, że obrona główna będzie na Wiśle, że Wisła to jest kawałek rzeki nie do pokonania, prawda. Ale Lublin, zostawili tu nieliczną grupę, mocno artyleryjską, i to przeciwczołgową, no i zostało, tak, większe, ważniejsze... Aha, co najważniejsze budynki wszystkie zostały podminowane, zrobione, żeby wysadzić, jak już będą wchodzili Sowietci, żeby zniszczyć Lublin zupełnie, a tu, co się dało, to opóźnić. Drogi, pola, wszystko od Lublina to już jak Lublin, wyzwolenie, 20 lipca, to już od 15 lipca nie było miejsca, żeby się cośkolwiek na szosie zmieściło. Taki ogrom armii się wycofywał. Bokami, rowami, szosą, polami szły po bokach czołgi. Tu, gdzie... Normalnie tak się wycofywała cała armia. No i jak ich dopadli tutaj, za Wieprzem już, to to, co się wycofywało, to wtedy zaczęło, 20 lipca, w nocy na 21 lipca, podziemie, lubelskie podziemie, dość mocne, bardzo mocne, dużo oddziałów partyzanckich przecież, pozamiastowych, no i jeszcze organizacja miejska, poszliśmy na wojnę z nimi. I, proszę pana, 21 lipca żeśmy my osobiście z „Pokerem” zdobywali „Soldatenheim” i gimnazjum „Unii”, w którym był szpital niemiecki, i jednocześnie co tych ciężko chorych to zabrali, gdzieś wywieźli Niemcy, a zostali lżejsi, niby bronić się, bo to duży budynek, na Narutowicza, że będą się bronili. Tam od razu teren odpowiadał, a topografia dobrze, bo zaraz był klasztor Urszulanek, to też były ogrody, drzewka, drzeweczka, to Niemcy tam się... I myśmy zdobywali „Unię” i zdobywaliśmy „Soldatenheim”. Najpierw, bo ogromnie mocno zbrojne i dużo wojska, to „Soldatenheim”. Zaatakowaliśmy „Soldatenheim” około godziny piątej rano, sami Polacy byliśmy i mieliśmy ze sobą właśnie tę naszą „sukę” i jeden angielski karabin, Bren, to jest angielski karabin maszynowy, ręczny karabin maszynowy, i my byliśmy z karabinami, chyba były tylko dwa MP, a resztę mieliśmy broń... Mausey. I bramy żeśmy nie mogli otworzyć, bo brama duża, żelazna, wjazd na podwórze do „Soldatenheimu”, tośmy bramę wysadzili granatem, powiesili Gammon na kłamce. To jest granat zrobiony taki w szmacie,

nie wiem, czy tu na wierzchu nie mam takich, bo jak jeżdżę, to mam ze sobą takiego Gammona. Jest takie miejsce, że na klamce, ale to jest makieta, to nie jest broń, panie. Tylko że autentyczna, wizja autentyczna. To ja i tu broni mam pół pokoju, ale żadnej prawdziwej. I matce nie mogę darować, że jak mnie aresztowali, to ona wzięła to wszystko, wyrzuciła i utopiła. W sraczu, na placu Bychawskim. Przepiękne, rewolwer i pistolet. Ale nic nie znaleźli. Dlatego wyszedłem i tu z panami rozmawiam.

Tomasz Sudół: Więc właśnie.

Zbigniew Matysiak: Bo z tej mojej grupy, było nas czterech, to żyję tylko ja, a resztę rozwalili. A ja nic, panie, ja się w kowboja bawiłem, ja rewolwery strugałem z drzewa. Nikogo nie znałem, nie lubili mnie wszyscy, bo z procy nie chciałem strzelać do ptaszków. I tak przeżyłem. I teraz, proszę pana, bramę żeśmy rozwalili, wpadamy na to podwórko i z góry, spod strychu ogień z karabinów maszynowych. Nikogo nie trafili, w poprzek stała na podwórku niemiecka karetka pogotowia, Horsch, taka cała z drewnianych deseczek, piękny samochód, robiona na karetkę pogotowia specjalnie przez Niemców. I ona stała tu, tu tu był budynek „Soldatenheimu”, duża, ozdobna, bo to był kiedyś pałac, osobna brama no i okna były już z workami z piaskiem, dechami jakimiś zabite, tylko spod dachu szpary były i trzy środowiska karabinów maszynowych strzelały. A tu murek był, tej wysokości mur był, i wyżej, tak jak może tu do sufitu to były... płot żelazny. A tutaj to był murek. I my za tym murkiem, murek przedwojenny, dobry, gruby, tak żeśmy... Armat nie mieli, więc się niczego nie baliśmy. I za tym murkiem, i to wszystko. No ale naprzeciwko bramy i tamtego wejścia stoi ta karetka pogotowia. Skoczył chłopak taki, „Paczkarz” miał pseudonim, później przez jego żonę poznałem swoją, skoczył „Paczka”, my po tych facjatakach z tej „suki” i wtedy w tym, i on pod drzwiami. Brama zamknięta. Całe wejście, żeby wpaść do budynku czy wrzucić tam do środka granaty. No to my dalej strzelać, i on się wycofywał, i wtedy go trafili, wtedy go trafili w piętę. Pięta: bardzo ciężki postrzał. „Zapora” też był w piętę postrzelony. I trafił go w tę piętę, on się przewrócił, zaczął się czołgać, ja skoczyłem pod tę karetkę pogotowia, pod środek skoczyłem i zza jednego koła... W feldze są dziury, nie. Ale felga jest z takiej stali. Karabin wsadziłem i myślę sobie, trzeba te drzwi otworzyć do tego. No ja nieźle strzelałem. I w ten zamek, w te drzwi: „tubudubu, tubudubu”. A „dziwoląga” miałem, niemiecki karabin, Mauser, produkcji belgijskiej. Więc wspaniale wykonany był. Od razu uchwyt miał na lunetę. Ja lunety nie miałem, był bez lunety, jak ja go dostałem. I tam raz, drugi, trzeci. I ten zamek wystrzelałem. Strzelałem, wiecie, cały żelazny zamek, tak że drzwi już stały. No i wtedy żeśmy granat rzucili, rosyjski granat, który mieliśmy, przeciwczołgowe, mieliśmy, dostawaliśmy, na wymianę z ruską partyzantką, to było takie duże wiaderko, o takie o, blaszany, zielony z takim uchem. To był taki, że czołg potrafił, wiecie, unieszkodliwić. Bo normalny granat, to mogłeś pan do niego rzucać tak jak, ja wiem, że śrutu strzelać do czołgu. I ten granat to tam jak pierdyknął, panie, i te drzwi się otworzyły... I cisza. A to była godzina już koło ósmej, może po ósmej, było. 22 lipca. Kiedy weszli? Jeszcze Ruskich nie było. Ruskie dopiero w nocy 22 lipca, trzydzieści dwa czołgi zginęły w mieście ruskie. Taka taktyka, dobra, panie, taktyka u nas mnogo tanków. Półamerykańskich. Bo to szermanów było dużo. I, proszę pana, wdarliśmy się do „Soldatenheimu”. No i tam, co się wdarliśmy, my dopiero tam będziemy mieli broń. No i broni dość dużo było. Zaczęliśmy... No i wtedy właśnie zjawiał się „Ryś”. Dwie furmanki i ciężarówka. I z całego „Soldatenheimu” zaczął przejmować na te furmanki broń. Wszystko. Wiedzieli, panie, mieli łeb. Że to trzeba zabrać wszystko.

Tomasz Sudół: Ale to był łukasik „Ryś”, tak?

Zbigniew Matysiak: Łukasik, tak.

Tomasz Sudół: Ale w samym „Soldatenheimie”, już w środku, nie było walki, tak? Oni się już poddali czy już nie żyli, ci Niemcy?

Zbigniew Matysiak: Nie, to teraz panu opowiem. Łóżka podwójne, piętrowe. Na nich pierwszy raz zobaczyłem tak potwornie popuchniętych ludzi, postrzelanych. Siedzieli w spodenkach, siedzieli w koszulach tylko. Takie ręce. Takie nogi. Takie brzuchy. Takie szyje. Nie wiem, od czego. Tacy byli popuchnięci i siedzieli. Nawet ręk do góry nie trzymali. Tylko ręce opuszczone. I ta broń tak wisiała, jak to łóżka, wie pan, żelazne są, na podłodze te torby, nie torby, to łapać, tylko wszyscy za spluwami. Spluw nie było w ogóle. Chciałem dużo, dobre Parabellum czy Waltera niemieckiego, czy FN-a pietnachę. Myślę, będę miał wreszcie, bo miałem taką głównianą siódemkę. Będę miał... To, panie, jednej spluwy. Na górę wleciałem, na pierwsze piętro, była taka jakby sala, taka nie konferencyjna, tylko taka przyjęciowa, wie pan, taki jakby był bufet i tutaj stoliki. Taka... coś, wielkie grandes. I tam wpadłem... Cisza. Z tym karabinem, myślę, no wiesz, ktoś coś się ruszy, coś się dymnie, to już walę. Cisza, pusto. Latamy, wie pan, wódek mnóstwo, różnych rzeczy mnóstwo. Wszystkiego tego. No i tu wszyscy żeśmy się tam wdarli. No i jak „Ryś” to zobaczył, przyjechał tymi furmankami „Ryś”, to koło południa, jak przyleciało dwóch Ruskich w watowanych kurtkach, w tych swoich saposzkach, z Diegtiariowami, obydwaj mieli Diegtiariowy... I ja nie wiem, do dzisiejszego dnia nie wiem, po co. Mówię, w tej sali balowej było mnóstwo różnych... wódki, nie wódki, likiery... No ja wtedy nie byłem bardzo pijący. Nic nie brałem, żadnej. I na dole stał normalny polski denaturat. Znaczący pisał: „spiryt, denaturat”. Proszę pana, nie siny, bo Niemcy go nie barwili nadmanganianem, tylko był taki brudnobiały, taki lekko żółtawy. I ja te dwie butelki wziąłem, czy do domu było matce po coś... No w tej chwili, panowie, to była sytuacja, nie. Ale ja miałem dwie butelki tego denaturatu. I ten Ruski z Diegtiariowem przychodzi... A, i w tej jednej sali, mam ten aparat do dzisiaj, wisiał piękny harmonijkowy KODAK, aparat fotograficzny. I ja z tego łóżka wziąłem tego KODAK-a, powiesiłem sobie na szyi, i że mam KODAK-a, przychodzę. I ten spirytus, Ruski przychodzi, chodzi i mówi tak: „No znajesz. Miejesz ty czasy?”. Ja mówię: „Nie mam.” - „A szo ty miejesz?”. Ja mówię: „Nic nie mam”. A on mówi: „A o tu, w butelku. Wodku?”. A ja mówię: „Spirytus. Spirytus, denaturowany spirytus.” - „Pokażi”. Ja mu pokazuję tę butelkę spirytusu, tam pisze... trupia czaszka, łeb, pisze „spirytus denaturowany”. A on otwiera... A one tak śmiesznym takim papierowym korkiem, jak dziś pamiętam, z dziurką, były zatykane i lakiem zasypane. Ruski wziął, rozwalił, ten korek wyskoczył, pije. „Uuu...”, czyta tę butelkę, mówi: „Haroszy spiryt. Kriopki. SS likior”. Bo ta czaszka, jak na niemieckich czapkach była. I mówi: „Machniom?”. A ja mówię do niego tak: „Machniom. A szo ty dosz?”. A on mówi: „A szo ty?” - „Czasy nie miejet coś?” - mówi: „Nie mam”. A ja mówię, pokazuję mu na Diegtiariowa. Mówię: „Daj Diegtiariowa”. „O, nie maszynu. I starszy naby ubił”. A ja mówię: „Maszynu”. A ten mówi: „A Pepeszu bierosz?”. Ja mówię „Biero Pepesz...”, i „Pepeszy” się dorobiłem. Dorobiłem się pierwszej „Pepeszy” w życiu. Jeden z partyzantów w Lublinie miał tu „Pepeszę”. Jak wjechali do Lublina, panowie, wystawiali „Pepesze” na ulicy, trzy-cztery „Pepesze” i cały wór bębnow do „Pepeszy”, pełnych amunicji. Żeby ludzie spodziewali się wielkich bitew. No i weszli, no i zeszli. No i poklepywanie po plecach. Myśmy zakwaterowali trzy kamienice, oddziały PKB, na ulicy Piłsudskiego, chyba był pod piątym i siódmym, tu, jak się schodzi do stadionów, na ulicy, dzisiaj też Piłsudskiego jest. I tam żeśmy zakwaterowali, no i Ruskie przychodzili tu wszyscy, i któregoś dnia wieczorem wpada porucznik, nieznan mi zupełnie, w mundurze,

i mówi: „Chłopaki, gdzie kto może, do lasu wypieprzać, bo w Polanówce już rozbroili „Zaporę”, kupę oddziałów, „Zaporę”, „Nerwę”, „Szaruga” się sam zgłosił z całym oddziałem do Ruskich i od razu go majorem zrobili, polski bohater, a jego żołnierzy w Kąkolewnicy rozstrzelali, a on był tu szefem szkolenia wojskowego na Majdanku. Proszę pana, i major już w stopniu. A tak to był w stopniu podporucznika. I, proszę pana... A kto do domu, kto niespalony, to się cofać i będziemy w kontakcie. No i wtedy „Ryś” dość dużo broni wywiózł, i myśmy się rozwinęli. No i wtedy ogromne wszystko... zapisywać się do wojska, zapisywać się do wojska, wszyscy do polskiego wojska, na ulicy Kościuszki założyli... nie wiem, jak to się nazywa, dyon, nie dyon, w marynarce wojennej, jednostkę i dwóch marynarzy było w mundurach rosyjskich, tylko nie oficerskich, tylko takich bosmanów. I oni przyjmowali. I myśmy się zapisali we trzech, ja, Heniek, Zdzisio „Szewczyk”, „Abisyńczyk”, „Pergon”... i Oleś, „Marynarz”, taką ksywę, „Marynarz”. We czterech. Zapisaliśmy się, podpisaliśmy te kwity no i, że będziemy robieni, że wszystko, jak się tylko wyzwoli morze, a tutaj to będziemy szkoleni przez tych marynarzy. Wychodzimy na podwórko i podchodzi do nas też taki bosman, i mówi: „Chłopaki, czy wy wiecie, co wyście zrobili? Wy od razu stąd na białe morze jedziecie. Mówi, tam, na japoński front. Macie gdzie wypieprzać, to wypieprzajcie, ile tylko nóg macie”. No a że my chłopaki rychłe w nogach byliśmy, popatrzyliśmy, dużo gadać nam nie trzeba było. A tych kwitów miał pozapisywanych, bez adresów, tylko imię, nazwisko, imię, nazwisko, imię, nazwisko, to, o. No i dopiero żeśmy poszli do tego półdzikiego lasu. No i wtedy dostaliśmy cynk, akcja „Burza”, „Poker” nas zebrał, zabraliśmy podwodę i było nas albo dwunastu, albo czternastu, i szliśmy na powstanie warszawskie.

Maciej Żuczkowski: Skończyliśmy na momencie, w którym ruszyliście na pomoc Warszawie razem z „Pokerem” i dotarliście do Ryk.

Zbigniew Matysiak: Dotarliśmy do Ryk. Właściwie do miasteczka Ryk żeśmy nie dojechali, przed Rykami dość daleko, ja wiem, może trzy-cztery kilometry przed Rykami stanęliśmy, zajechaliśmy, była jedna furmanka i nas, mówię, dwunastu, czternastu, nie pamiętam w tej chwili dokładnie. No z Lublina, żeby przebyć te sześćdziesiąt... bo to będzie około sześćdziesięciu kilometrów do Ryk... Zresztą nie pamiętam dokładnie. I wszyscy ubrać się, umyć się, nogi zniszczone, bo jedna furmanka, to przecież żeśmy nie jechali, tylko szli. Na furmance była broń, amunicja. No jechać nam do Warszawy i mówić: „Panowie, może nam coś dacie, jakąś strzelbę jedną chociaż”? Nie, szliśmy... A mieliśmy się już gdzieś tu po zdobyciu Lublina... Chyba mieliśmy wtedy dwie „suki” i tę „tobrukowską” jedną naszą. A, i mieliśmy chyba najlepszy karabin maszynowy świata na ówczesne czasy, ręczny karabin, to był polski Browning 28. To nie było, żeby się kiedykolwiek zaciął, żeby mu pękła iglica czy coś się działo. Polski, radomski Browning 28. I żeśmy przyszli, rozebrali, jak dziś pamiętam, „Poker” stał, lusterko na furmance stało postawione i on się golił, rozebrany do połowy. W butach był, w saperkach, bo to przeważnie żeśmy mieli niemieckie saperki, bo to taki but był wtedy poszukiwany. Bo to był but mocny, dobry. Z tym że do marszów się nie bardzo nadawał, dlatego żadne armie świata nie mają, tylko są w kamaszach. Najlepsze armie świata nie chodzą w butach z cholewami. W butach z cholewami to kawaleria chodzi. Czy artyleria. Wszyscy to mają kamasze. Tylko dobrze, specjalnie zrobione, ale wtedy jeszcze nie było mody. Tylko był saperek, no niemieckie wojsko saperki. Chociaż Niemcy też mieli kamasze, w które... w akcjach bojowych to w kamasze się ubierali. Wygodnie biec, rozumiecie, panowie, a saperek, z tą szeroką cholewą, z tym wszystkim, to nie. I, proszę pana, my, reszta, tu jemy, gospodyni coś gotuje jedzenie... A, chcę panom zaznaczyć, że nie było... że to jest kłamstwo, co opowiadają. Akowcy chodzili, kradli świnię, kradli wszystko. Nie było możliwości... Nasz teren

działalności był tak mały, ograniczony, każdy oddział, każdy patrol, każdy miał swój teren chodzenia. Nie wolno było wejść na inny, przecież myśmy wszyscy chodzili w mundurach, żebyśmy się nie postrzelali. Rozumiecie, panowie. Więc był nasz rejon działania, o ten o, z tym że ten rejon by był od brzegu do brzegu trzydzieści na czterdzieści, to jest ogrom terenu. I jak dzisiaj zrobiliśmy robotę, o, tę chałupę u mnie, czy wystrzelali, kogo trzeba, czy nie wystrzelali, czy zabrali czy kasę, czy broń, czy coś, zależy od akcji, co było potrzebne do robienia. Więc po akcji, żeby oddział był pewny, sto procent, minimum trzeba się było podziac piętnaście kilometrów. Rozumiecie, od tego miejsca. I teraz sobie wyobraźcie, wróćę... Chcę, żebyście wiedzieli, co to są partyzanci. Partyzant, żeby był prawdziwym partyzantem, spełniał swoje zadanie, to jest tak jak amerykańskie oddziały specjalne, gdzie żołnierz jeden z oddziałów specjalnych, z tych marines czy, wiecie, z tych innych, z tej airborne, to on ma siedemdziesiąt kilo majątku na sobie. Tylko że on piechotą nie chodzi. A my, i teraz, panowie... Szkołę żeście skończyli chociaż? Bo nie wiem, czego w tych szkołach teraz uczą, bo historii na pewno nie. Ale dodawać do dziesięciu to starczy. No to ci, co nawet do dziesięciu nie liczą, dlatego zarabiają miliony. Proszę pana, ja, „Pepesza”, pięć kilo. Zakonotuj pan sobie to, jak nie masz pan kwitka. Pięć kilo. Żeby „Pepesza” była „Pepeszą”, to minimum do niej było albo trzy księżyce, albo dwa bębny. Proszę pana, to było trzy i pół kilo. To już jest osiem i pół kilo. Ja, który powiedziałem, że nie ma broni... żadna broń nie zastąpi granatu. Dlatego ja, chodząc, miałem minimum ze sobą trzy, a przeważnie pięć granatów. Granat ważył od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu deko. To pięć... trzy to jest dwa kilo. To już jest dziesięć i pół kilo. Spluwa. Porządne kopyto waży, proszę pana, od kilo do kilo pięć, Parabellum, VIS, Colt, piętnacha FN. To są kilogramówki. Żeby ta spluwa się liczyła, to ona waży kilo. To już jest, proszę pana, jedenaście i pół kilo. Żeby ta spluwa była spluwą, to minimum po kieszeniach musiałem mieć, minimum, trzy magazynki i luzem ze trzydzieści. Kula waży półtora deko. To już jest pół kilo i trzy magazynki to jest kilo. To już jest trzynaście i pół, i tutaj pół, to jest czternaście kilo. I teraz, proszę pana, żeby „suka” była „suką”, to dla niej nie ma pięćdziesiąt kul, taśma sto pięćdziesiąt, bo taśmę wypracuję za pięć, siedem serii. Więc amunicji do „suki” trzeba było mieć ze sobą minimum 700-800 sztuk. Po 150 sztuk amunicja. Więc na zdjęciach jest pokazane. Oprócz mojego ekwipunku 150 sztuk taśmy dźwigałem dla „suki”. Kula waży cztery i pół deko. Jedna. Licz pan prędziutko, 150 to już jest cztery i pół, to jest z sześć kilo. Narobiłem panu osiemnaście kilo. I teraz zrobiliśmy robotę, deszcz leje jak nie skurwysyn, trzy skurwysyny. Błoto prawie do kolan. Buty dziurawe. Pan głodny, ziąb. Zimno. I po tej robocie mamy wyskoczyć piętnaście kilometrów. To ja pana dzisiaj, o, w tych pierunkach na nogach wyprawię po błocie piętnaście kilometrów, o takiego gołego, nagiego, to jak pan się dostanie do chałupy, to pan powie tak: „A ja mam w dupie całą Polskę, całą partyzantkę, wydymajcie się”. Nikt nie dostawał żołdu, nikt nie dostawał pieniędzy za to, co robił, tylko mieliśmy Polskę.